

## JULIA STEIN ur. 1907; Taszkient

<b>Tytuł fragmentu relacji</b>	Przyjazd do Lublina
<b>Zakres terytorialny i czasowy</b>	Lublin; po 1944 roku
<b>Słowa kluczowe</b>	Lublin, Ludwik Fleck, Wiktor Stein

### Przyjazd do Lublina

Do Lublina przyjechałam w roku czterdziestym dziewiątym. Tutaj mąż mój został zaproszony na katedrę do Akademii Medycznej. I przyjechaliśmy z Wrocławia, za którym bardzo żałowałam, bo wobec tak pięknego miasta jak Wrocław, które w prawdzie wtedy było w ruinie, no to Lublin wydawał mi się grajdołkiem. On się bardzo od tego czasu zmienił. Zawsze jednak uważałam za moje ojczyste miasto Warszawę. No ale ponieważ już tyle lat tu mieszkam, więc – czy mi się to podoba czy nie – zostałam Lublinianką. Doskonale pamiętam, jak wtedy Lublin wyglądał. Byłam przerażona, bo mąż mój tu przyjechał wcześniej i cały rok już tu był w czasie trwania roku akademickiego, a ja jeszcze byłam we Wrocławiu. I kiedy go odwiedziłam i zobaczyłam tę straszną ulicę Świętoduską, która była brukowana kocimi łbami i na której były takie cementowe jakby ławy, ale one nie były dla ludzi. One były na towar. A te chłopki, które przyjeżdżały z jarzynami, z kartoflem, no i z tym, co wieś przywozi do miasta, to one siedziały na tych kocich łbach. A towar leżał na tych ławach. Ja byłam przerażona, kiedy to zobaczyłam i się zdziwiłam. Pytałam męża, czy on naprawdę chce tu mieszkać. I okazało się, że jego miasto tak nie obchodzi, jak praca, która go interesuje. Rozumiałam to i porzuciłam piękny Wrocław. Od tego czasu Lublin się jednak zmienił. Nie wiem, czy są jeszcze jakieś miejsca z kocimi łbami. Potworne to było.

Wolny czas spędzało się wówczas raczej w domu. Myśmy na przykład chodzili do Filharmonii. Mieliśmy wykupione abonamenty. Czasami – rzadko – do teatru. Ja nawet chciałam wykupić abonament do teatru, ale jakeśmy tylko tu przyjechali, to się zorientowałam, że tu bardzo to jest ubożuchne, to całe życie kulturalne, w porównaniu z Wrocławiem, z którego przyjeżdżałam, no i z przedwojenną Warszawą. Także nawet jak tu pierwszy raz przyjechałam, to byłam zdziwiona, że mąż się zdecydował w takiej dziurze zostać. Tu jeszcze w wielu miejscach były kocie łby. Od rogatki olbrzymia część Lubartowskiej to były kocie łby. Potem ta Świętoduska, która się w pewnym okresie nazywała Hanki Sawickiej.

Byłam raz w Lublinie przed wojną z taką jednodniową wycieczką samochodem i pamiętam, że dojechałam do Bramy Grodzkiej, bo wiedziałam, że jest zamek. I byłam bardzo ciekawa, co to za zamek. I jak tam dojechałam, to przedtem był jakiś obrzydliwy dom i to był dla urzędników, bo to było więzienie. No, ja wtedy jeszcze byłam bardzo młoda kiedy była ta wycieczka i powiedziałam „Co?! Co to za miasto, żeby w zamku było więzienie.” I nie pojechaliśmy dalej.

Także ja tylko widziałam z Bramy Grodzkiej Zamek. Coś zwiedziliśmy, ale jakoś nie było żadnej obsługi turystycznej. Nie było do kogo się zwrócić, żeby coś pokazał. Tyle, cośmy zobaczyli na własne oczy. A byliśmy tylko z bratem i z mamą. To tylko jeszcze pamiętam, gdzieś zjedli obiad. Wiem, co to było, bo to było tak jak gdyby właściciel jakiejś masarni chyba miał także i restaurację. Ale nie wiem, czy mi się dobrze zdawało czy nie. To już dzisiaj nie egzystuje. Pan Radomski, pamiętam. Bo to jakoś wyglądało inaczej niż restauracja w Warszawie. Taki był ciemny lokal. Wiem gdzie do dzisiaj, ale tam jest dzisiaj całkiem co innego. To było Krakowskie, tuż przy hotelu Lublinianka.

Pamiętam też Lublin jakeśmy uciekali z Warszawy. I takie mieliśmy szczęście. Był taki znany poeta Czechowicz i on zginął piątego dnia wojny chyba. Mniej więcej w tym miejscu, gdzie ma teraz pomnik. Wychodził chyba z zakładu fryzjerskiego i padła bomba i on zginął. A myśmy wyjechali dzień wcześniej jak się zrobiła noc. Jakoś takie mieliśmy szczęście, że gdzieśmy przyjechali i wyjechali, to następnego dnia było bombardowanie. To było coś niesamowitego. I myśmy widzieli, albo było tuż przed nami, albo po nas. Potem zrozumiałam, dlaczego tak było. Nocowaliśmy nie dojeżdżając jeszcze do Lublina, w Kurowie. I bardzo było śmiesznie, bo brat i ja chodziliśmy od domu do domu, żeby się zorientować – bo hotelu oczywiście nie było – czy gdzieś się znajdzie nocleg. Brat wszedł do pierwszego domu i okazało się, że to jest lekarz, który miał cały gabinet wyposażony w te meble lekarskie, kozetkę, odpowiednie krzesółko, stół, jakieś coś tam. No i jak najserdeczniej nas zaprosił i ja na tej lekarskiej kozetce właściwie spałam. A następnego dnia rano pełno uciekinierów z Kazimierza. I ja nie wiedziałam, co się stało. Okazało się, że tam, czy na Kazimierz, czy tuż koło Kazimierza, spadły bomby. A to się okazało, że Niemcy jakby wiedzieli, którędy jedzie rząd. Bo to uciekały nie tylko rząd. Ci ważni to jechali samochodami, a całe ministerstwa wyjeżdżały pociągami. Bo ja potem w Rumunii się z tymi ludźmi przecież stykałam przez całą wojnę. I ten lekarz się szalenie ucieszył, jak się dowiedział, że mamy miejsce w samochodzie i że brat go chętnie zawiezie do Lublina. Bo on miał żonę, która już była na ginekologii w Lublinie, bo oczekiwała dziecka. A on ze starszym dzieckiem został w Kurowie, ale chciał jechać. No i tylko dzięki temu śmy się wydostali, bo policja nie puszczą na Lublin. Miała zakaz i kazała wszystkim jechać w kierunku innej miejscowości, 17 kilometrów w bok i można było tamtędy też dojechać do Lublina. A myśmy już prawie nie mieli benzyny.

Data i miejsce nagrania	2007-04-04, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Transkrypcja	Magdalena Nowosad
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"